

REGIONALNE TOWARZYSTWO KULTURY
IM. J. M. GOŚLARA W KOLBUSZOWEJ

ROCZNIK KOLBUSZOWSKI

Nr 5

ROK 2001

MAGAZYN

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy



M006975

SYG.....2462.....

KOLBUSZOWA 2001

MIPBF
w Kolbuszowej
Książka zakupiona z funduszy
powiatu kolbuszowskiego.

94 (438)

REDAKCJA:
Zarząd Regionalnego Towarzystwa
im. J.M. Goslara

RECENZJA WYDAWNICZA
dr Eugeniusz Szal

REDAKTOR WYDANIA
mgr Marian Piórek

REDAKTOR GRAFICZNY:
Jarosław Hryczyszyn

PROJEKT OKŁADKI
Benedykt Popek

WYDAWCA:
REGIONALNE TOWARZYSTWO KULTURY
im. Juliana Goslara w Kolbuszowej

ISSN - 0860-4585



94(438)-024/083:929(438)

6975

Nakład: 350 egz.

Skład, łamanie i druk: "ABAKUS", 36-100 Kolbuszowa, ul. Wiktora 21

Spis treści

WSTĘP 5

Rozdział I

WOJNA I OKUPACJA NIEMIECKA WE WSPOMNIENIACH ORAZ W RELACJACH (1939 - 1944) 7

1. Halina Dudzińska, Wspomnienia o wrześniu 1939 roku
(w 60-tą rocznicę) 9
2. Wspomnienia i relacje 51
 - Tadeusz Biesiadecki 51
 - Maria Grodecka, z domu Serwańska 55
 - Józef Jadach 57
 - Barbara Krudysz 59
 - Emilia Opalińska 65
 - Władysław Ozimek 69
 - Jan Styga 73
 - Janina Urban 75
 - Franciszek Serafin, ps. "Platon" 79
3. Władysław Puzio, Klęska wrześniowa 1939 roku w mojej pamięci
i obecnej ocenie 83

Rozdział II

W NIEWOLI ROSYJSKIEJ I SOWIECKIEJ 95

1. Adam Nowak z Lipnicy, Moje wspomnienia 97
2. Józef Maziarz z Huciny, Wspomnienie z deportacji do ZSRR
z lat 1940-1946 141
3. Maria Skowrońska - Klinke z Kolbuszowej Dolnej,
Wspomnienie z deportacji do ZSRR /1944-1946/ 145
4. Antoni Magda z Trzęsówki, Wspomnienie z pobytu w łagrach
Związku Radzieckiego w latach 1944-1946 157

Rozdział III

MOJA MAŁA I WIELKA OJCZYZNA "POLSKA" 171

1. Halina Dudzińska, Rodzina Bytnarów 173
2. Zdzisława Józefa Rechul - Bytnar, Moja rodzinna ulica
- kolbuszowskie Nowe Miasto w początkach obecnego stulecia 183
- Pierwsze lata Prywatnego Gimnazjum w Kolbuszowej /1911-1916/ 203

Rozdział IV

ARTYKUŁY I RECENZJE 209

1. Anna Marut, Zarys działalności Ludowego Zespołu Sportowego
Werynianka w latach 1946 - 1995 211
2. Marian Piórek, Dr Kazimierz Aleksander Skowroński - historyk,
nauczyciel i regionalista /1907 - 1974/ 239
3. Marian Piórek, Recenzja książki Krzysztofa Ożoga,
Dzieje parafii Górno 1599-1999 247

podróży. Po tym wypadku nasza nienawiść do Rosjan jeszcze się powiększyła. Jechaliśmy bowiem o głodzie. Zjedliśmy tyle, ile uzbieraliśmy u podróżnych. A tam ludzie sami biedni, nie są chętni dzielić się z drugim.

Po miesiącu podróży przekroczyliśmy granicę polską w Brześciu n/Bugiem. Skierowano nas do Domu Dziecka w Gostyninie. Tu zajęli się nami ludzie z Polskiego Czerwonego Krzyża. Zdezynfekowano nas. Potem odesłano do miejscowości Bardo Śląskie koło Wałbrzycha i umieszczono w Domu Dziecka znajdującego się w poklasztornym budynku. Razem z bratem spędziłem tam lato. Gromada nas, chłopców, w czasie zabawy odkryła pozostawiony przez Niemców mały skład karabinów. Zostawiliśmy sobie ich kilka, a o reszcie zawiadomiliśmy milicję. Razu pewnego zaczęliśmy z tej broni strzelać do dwóch żołnierzy radzieckich. Znowu mieliśmy kłopoty i zabrano nam broń.

Tymczasem nasz Ojciec poszukiwał nas przez Czerwony Krzyż. Przeszedł szczęśliwie szlak I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki Ludowego Wojska Polskiego i zamieszkał u swojego brata w Chrzastkowie koło Mielca. Odnalazł nas i zabrał do stryja. W 1947 r. otrzymał dwa hektary pola z reformy rolnej w Orłowie, gmina Borowa. Ja poszedłem uczyć się w Gimnazjum. Po szkole średniej dostałem się na Wydział Technologii Drewna Uniwersytetu w Poznaniu. Skończyłem studia w latach pięćdziesiątych i dostałem nakaz pracy do tartaku w Długim Kącie w powiecie biłgorajskim. Pracowałem tam do 1960 r. Jeszcze w 1956 r. ożeniłem się ze Stanisławą Frask. Urodzili się dwaj synowie, Andrzej i Wiesław. Rok pracowałem w tartaku w Chmielowie koło Tarnobrzega, a od 1961 r. pracuję jako technolog w Rzeszowskiej Fabryce Mebli w Sędziszowie Młp. Mieszkam w tym samym mieście. Jestem bezpartyjny. Synowie zdobyli wyższe wykształcenie i usamodzielnili się. Z odznaczeń posiadam: Złoty Krzyż Zasługi, Medal XXXX Lecia i Odznakę Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego.

*Opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego
Halina Dudzińska*

Urodziłam się 15 sierpnia 1921 r. w Kolbuszowej Dolnej koło Kolbuszowej, jako jedno z dzieci Ignacego i Joanny Augustyn, rolników. Miałam kilkoro starszego rodzeństwa i młodszego brata Jana. Rodzice moi wyjechali, przed rokiem 1910, na emigrację zarobkową do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a powrócili do kraju po otrzymaniu przez Polskę niepodległości. Za pieniądze zarobione w USA, kupili osiem hektarów ziemi w swojej wsi, w Kolbuszowej dolnej, przy drodze do Zarębek i zbudowali nam drewniany, rodzinny dom. W odrodzonej Polsce, w II Rzeczypospolitej, panowały inflacja i różnorodne trudności, zwłaszcza gospodarcze i Ojciec wkrótce, po urodzeniu się, w 1923 r., brata Jana, pojechał z powrotem, za pracą do USA. My, dzieci, pozostałyśmy z Mamą. Władysław, jeden z braci, urodzony w 1911 r., pomagał jej w prowadzeniu gospodarstwa. Stanisław, starszy od niego, chodził do kolbuszowskiego Gimnazjum. Wstąpił on potem do stałej służby wojskowej, ale zginął z rąk Sowietów w 1941 roku we Lwowie, gdzie pozostał po wrześniu 1939 r. Ja, skończywszy przepisana ilość klas szkoły powszechnej, także uczyłam się przez dwa lata w Gimnazjum, ale przerwałam naukę, zniechęcona pewnymi trudnościami z matematyki. Pozostałam w domu. Wnet wybuchła II wojna światowa.

W czasie wojny pracowaliśmy na gospodarstwie. W drugiej połowie wojennych lat bracia moi, Władysław i Jan, zostali członkami Armii Krajowej (AK), konspiracyjnego Wojska Polskiego, powołanego do życia przez Rząd Polski, powstały na emigracji w Europie Zachodniej. Działalność konspiracyjna w Kolbuszowej Dolnej była szeroko rozwinięta. Najpierw, prawie że od początku wojny szerzył ją Adam Rychel, starszy przodownik Polskiej Policji, od końca 1939 do jesieni 1942 komendant posterunku PP w Kolbuszowej. Mieszkał z rodziną, z żoną i dwojgiem dzieci, w naszym sąsiedztwie. W jego domu zamieszkali, w 1943 r., aktywni członkowie AK, Michał Mokrzycki "Orlik", "Bartnik", referent prasowy Komendy Obwodu AK w Kolbuszowej, oraz Tadeusz Rożek "Sawa", używający wtedy nazwiska Ościak. Ten niezwykle odważny mody człowiek, przybyły z Rzeszowa, organizował w Kolbuszowej i okolicy, akowskie grupy dywersyjne, mające wywoływać akcje antyniemieckie. Adam Rychel i jego lokatorzy wciągali mężczyzn do organizacji. W jesieni 1943 roku Adam Rychel zmarł, ale dom jego pozostał ważnym ośrodkiem akowskiej pracy. Brała w niej udział

Władysława Rychel, wdowa po Adamie, pseudonim "Warta", wciągnięte były do niej i jej dzieci, Maria i Tadeusz, nie mający jeszcze wtedy po osiemnaście lat. Ja nie składałam przysięgi organizacyjnej, ale wiedziałam o pracy i czasem uczestniczyłam w niej, spotykając się z kolegami braci czy pełniąc rolę łączniczki. Wtedy poznałam Kazimierza Klinke, będącego do roku 1943 polskim policjantem, ukrywającego się potem przed Niemcami i Leszka Braitera, młodego przybysza do Kolbuszowej, który pracował jako instruktor w Baudeienst-cie w Świerczowie i był zapalonym akowcem, pod pseudonimem "Brzoza". W stodole Rychłów Michał Mokrzycki drukował, od drugiej połowy 1943 r., akowskie pismo "Na Posterunku", a czasem czynił to i w naszym budynku gospodarczym. Mieszkaliśmy na uboczu i miejsce było dobre na spotkania kolegów.

Potem przyszedł rok 1944. W lipcu akowcy realizowali plan "Burza", w sierpniu ziemię naszą zalała armia radziecka. Pod osłoną tej armii komuniści, inspirowani przez Józefa Stalina, obejmowali władzę w naszym kraju i przystępowali do unieszkodliwiania, do aresztowania przeciwników, zwolenników Rządu na emigracji w Londynie, członków AK i w ogóle osób, podejrzanych o posiadanie broni. Głównymi narzędziami walki władzy komunistycznej z "reakcją" były wojewódzkie i powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego i posterunki milicji obywatelskiej. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego PUBP, w skrócie UB) powstał i w Kolbuszowej.

Do nas, po zakończeniu akcji "Burza", Leszek Braiter przyniósł dwa czy trzy niemieckie karabiny, automaty. Wtedy akuratnie były żniwa i bracia rzucili tę broń pod stawiany, na podwórzu, stóg sнопków zboża. Potem przyszli do nas Sowieci na kwaterę. Po jakimś czasie zakładając telefon, przesunęli stóg w inne miejsce. Znaleźli automaty i zabrali je, nikomu nic nie mówiąc.

Aresztowania akowców w Kolbuszowej ubowcy razem z funkcjonariuszami NKWD rozpoczęli w ostatnim dniu września 1944 r. W tym dniu wzięli trzech Lenartów: ojca Wojciecha, leśniczego i jego synów Jana i Stanisława, z leśniczówki pod Werynią. Wzięli i - przypało. Słuch po tych ludziach zaginał i do dzisiaj nie wiadomo, co się z nimi stało. W dniu 1 października zabrali ubowcy Władysławę Rychlową. Chcieli koniecznie ująć "Sawę". Przyszli po niego w dniu 4 października i zastali go w domu Rychłów. Uciekł, ale strzelali za nim i gdy przeskakiwał płot, dosięgła go seria z karabinu maszynowego, raniąc śmiertelnie w brzuch. Ja, na odgłos strzałów u Rychłów, niepotrzebnie tam pobiegłam. Ubowcy przyglądali mi się i zapamiętali. Przez przeszło miesiąc nic się działo. Dopiero w dniu 7 listopada trzech ubowców przyszło, po południu, do mojego domu. Zastali braci i mnie i zabrali nas ze sobą, mówiąc że nas biorą na przesłuchanie. Pogoda była wtedy jeszcze ładna. Miałam na sobie niezbyt ciepłą bieliznę i sukienkę, na nogach płytke buty. Wzięłam kurtkę i chustkę na głowę. Bracia też byli lekko ubrani. Nie spodziewaliśmy się tego, co nas spotkało.

Szliśmy do Kolbuszowej, do budynku PUBP przy ulicy 3 Maja, dzisiaj

przy ul. Obrońców Pokoju 1, trzema parami. Najpierw mnie prowadził, pod rękę, Tadeusz Wiśniewski, Białorusin, który przybył do powiatu kolbuszowskiego w 1943 roku, jako sowiecki partyzant, skoczek spadochronowy i rozpoznawał tutejsze struktury AK. Był w mundurze polskiego porucznika. Dzisiaj wiem, że ten mundur był własnością Jerzego Marii Tyszkiewicza, właściciela kolbuszowskiego majątku ziemskiego, aktywnego akowca, który do dnia 7.11 też już był aresztowany przez UB-NKWD. Białorusin ustroił się w mundur polskiego porucznika i odgrywał Polaka. Za nami brata prowadził Stanisław Winiarski, kolbuszowianin, rówieśnik i szkolny kolega Jana, który wstąpił na służbę do PUBP w Kolbuszowej i wiernie służył NKWD, znając ludzi i pomagając ich wyłapywać. Ten Stanisław Winiarski był jedynym kolbuszowianinem, który służył w kolbuszowskim PUBP przez wszystkie lata jego istnienia. W 1945 roku przyjął on nazwisko - Dzyndra. W jesieni 1944 r. zdobył on sobie opinię wielkiego szubrawca, zbira. W trzeciej parze siedł z moim bratem Władysławem, któryś z braci Osetków, chyba także Władysław, też drań wysokiego rzędu. Wymienieni mężczyźni przyprowadzili nas do budynku PUBP i zamknęli każde z nas w innym pomieszczeniu. Jeszcze tego samego wieczoru byliśmy przesłuchiwani, też każde z osobna. Na pierwsze przesłuchanie wzięto mnie do jakiegoś dużego pokoju. Przy stole siedziało dwóch Sowieców, oficerów NKWD i dwóch Polaków - ubowców, nieznanych mi. Kazano mi usiąść na stołku, niedaleko od stołu, położono mi miednicę z wodą na kolana, a dwóch innych ubowców stanęło obok mnie po obu stronach ramion. Pytania stawiał ubowiec siedzący przy stole. Pytał mnie, jaki mam pseudonim, od kiedy należę do organizacji Armia Krajowa, jakich ludzi znam, z kim spotykam się w tej organizacji, nazywał mnie narzeczoną "Sawy", pytał się, co o nim wiem, z kim on się spotykał i gdzie, w moim domu, jeszcze jest ukryta broń? Odpowiadałam, że nie należę do organizacji, że nie mam pseudonimu, że nie jestem narzeczoną "Sawy", że o nikim nic nie wiem. Za każdą odpowiedź ubowcy, stojący obok mnie, bili mnie zaciśniętymi pięściami po głowie, twarzy i plecach. Krew pociekła mi z nosa, więc wsadzili mi głowę do miednicy, którą przytrzymywali na moich kolanach. Po godzinie czy więcej, gdy byłam już pokrwawiona i nie mogłam mówić, ubowcy, stojący obok mnie, wzięli mnie pod ręce i zawlekli po schodach na strych budynku, gdzie nikogo nie było. Rzucili mnie na podłogę.

Na strychu spędziłam dwa tygodnie. Było mi zimno w tej mojej sukience i kurtce, no i głodno. Jako pożywienie dawano mi, raz na dzień, kawałek chleba i trochę zupy - wody w kubku. Drugie przesłuchanie, odbyte po tygodniu, było podobne do pierwszego. Powiedziałam podczas niego, że jest mi zimno. Ubowcy nie zareagowali na moje słowa, ale jeden z Sowieców przyniósł mi później, na strych, stary, cuchnący, zawszony kożuch. Brzydziłam się ale przykryłam się nim jednak, żeby było mi cieplej. Jakoś szczęśliwie nie przeziębiam się na tym strychu.

Po dwóch tygodniach kazano mi jednego wieczoru wyjść na podwó-

rze. Było tam dużo mężczyzn, a wśród nich znajomi z Kolbuszowej i Kolbuszowej Dolnej. Braci wtedy nie zauważyłam. Na ulicy, przed budynkiem, stały dwa czy trzy samochody ciężarowe. Po pewnym czasie kazano nam wchodzić na paki tych samochodów i siadać na deskach, na spodzie pak, jeden więzień pomiędzy rozsuniętymi kolanami drugiego. Byłam jedną kobietą w samochodzie. Ruszyliśmy w drogę. Pilnowali nas ubowcy z bronią w ręku.

Jazda trwała ze dwie godziny. Wreszcie stanęliśmy przed dużymi budynkami. Mężczyznom kazano zejść, mnie zostawiono na pace pod strażą kierowcy samochodu. Miałam wtedy możliwość ucieczki. Kierowca pozwolił mi zejść z paki i odejść na bok, za potrzebą. Myślałam o ucieczce, powinnam była uciekać i ukryć się gdzie, ale było ciemno, nie wiedziałam, gdzie jestem - i nieszczęsna, wróciłam do samochodu. Wnet potem przyszedł ubowiec i zaprowadził mnie do jakiegoś budynku, do salki, gdzie stały łóżka. Położyłam się na jednym z nich i przestraszona, smutna, zdeorientowana - zasnąłam.

Rano ubowcy przyprowadzili do izby dwie kobiety. Zaczęłyśmy rozmawiać. Były z Rzeszowa. Jedna z nich nazywała się Bartosik. Pani ta jakiś czas siedziała w więzieniu WUBP w Rzeszowie w jednej celi z Władysławą Rychel. Opowiadała o krwawych przesłuchaniach, jakie Rychłowa przechodziła, o konfrontacjach jej z członkami AK. Dowiedziałam się, że jestem w Przemyślu, i że pewnie wywiozą nas do ZSRR.

Z Przemyśla następnie przewieziono nas do baraków w Bakończycach, znajdujących się przy przedwojennych koszarach polskiej artylerii. Tu dołączono nas do grupy kobiet. Były wśród tych kobiet kolbuszowianki, moje znajome: Natalia Babko i Zofia Gruszka - nauczycielki, Maria Duzińska, Zofia Januszewska, Zofia Gólniewicz, Anna Kic - urzędniczka, Zofia Kotlarek, moja kuzynka Z. Gólniewicz, Aniela Mielcuszny, Stefania Opalińska - żona piekarza i Zofia Wildhirt. Później poznałam Annę Pękałską z Raniżowa. Gdy nas policzono, okazało się, że jest nas czterdzieści z całego województwa rzeszowskiego. Trzymano nas razem dwa czy trzy dni, dając do jedzenia, raz na dzień, kawałek chleba i garnuszek zupy. Dano nam też po sztuce niemieckiego płaszczka wojskowego lub bluzie od munduru. Jednego dnia wzięto nas też do publicznej łaźni, gdzie z rozkoszą wykapałyśmy się. Następnie zaprowadzono nas do koszar w Bakończycach, gdzie odbyło się przekazanie nas w ręce funkcjonariuszy NKWD i przyłączenie do rzeszy zgromadzonych mężczyzn. Zaraz potem zawieziono nas wszystkich samochodami na stację kolejową w Przemyślu i załadowano do wagonów towarowych. Później dowiedziałam się, że było nas w przygotowanym transporcie prawie dwa tysiące ludzi.

Nas, czterdzieści kobiet, umieszczono w jednym wagonie. Wagonie zimnym i pustym. Były to ostatnie dni listopada. W wagonie był żelazny piecyk i otwór w podłodze, czyli - latryna. Po jakimś czasie pociąg ruszył,

wioząc nas w nieznane. Niektóre z nas denerwowały się, płakały, pragnęły wracać do domu. Nie było jednak odwrotu. Gdy po pewnym czasie jazdy pociąg zatrzymał się, przed wjazdem na stację, któraś z kobiet powiedziała - a może nas rozstrzelają? Ale pociąg ruszył w dalszą drogę. Niedaleko przed Lwowem pociąg znowu stanął i usłyszałyśmy strzały. Stał z godzinę. Już w ZSRR dowiedzieliśmy się, że stanął on dlatego, że z jednego wagonu zaczęli wyskakiwać więźniowie. Jednemu stopa wpadła pod koło i mimowolnie zaczął krzyczeć z bólu. Krzyk usłyszał konwojent, siedzący w budce na dachu wagonu, zatrzymał pociąg i strzelał do uciekających. Część uciekających złapano, kilku jednak zbiegło, korzystając z ciemności. Wśród tych co uciekli, byli dwaj mężczyźni z powiatu kolbuszowskiego, z Porąb Kupieńskich: Władysław Miazga i inż. Jan Zdzisław Skrzypek.

Pociąg nas jechał, a czasem stał w polu całymi godzinami. W wagonie było zimno. Z czasem na ścianach wagonu osiadł szron. Wiedzieliśmy, że przejechaliśmy Lwów. W późniejszych dniach, na którymś z postojów, otwierano drzwi wagonów, zamkniętych od zewnątrz i wsuwano do środka kawałki chleba w jakimś koszyku, garnek czy miednicę zupy, a czasem i wiaderko ciepłej wody, zabarwionej ziołem. I parę łyżek. Kilka razy była i kasza. Raczyliśmy się po kolei, każda po łyżce, dwóch czy trzech. Pociąg stał, aż naczynia, w wagonach zostały opróżnione i oddane. Zupą była najczęściej grochówka, ugotowana na marynowanych śledziach, słońa. Chciało się po niej bardzo pić. Ciepłej wody - kipiatoku, było mało i nie było jej codziennie. Po kilku dniach jazdy lizałyśmy szron ze ścian wagonu, chociaż miał on przykry zapach i smak. Nie mając wody, nie myłyśmy się, ale któraś z nas miała grzebień, więc czesałyśmy się. Zawinięte niemieckimi płaszczami wojskowymi, zbiłyśmy się w gromadę na podłodze wagonu i rozgrzewały, jedna od drugiej. Rano i wieczór modliłyśmy się. Czasem wspominałyśmy coś ze swojego życia.

Jechałyśmy w nieznane dwanaście dni i tyle samo nocy. Zimno było coraz większe. Z głodu, cierpianego już od kilku czy kilkunastu tygodni straciłyśmy siły. Tak samo było z mężczyznami w innych wagonach. Aż wreszcie, jednego popołudnia, pociąg stanął, po czym, po pewnym czasie, otworzono drzwi wagonów i kazano nam wysiadać. Zebrano nas przed budynkiem stacji o nazwie Borowiczi. Po naszymu - Borowicze. Dzisiaj wiem, że było to dosyć duże i uprzemysłowione miasto, leżące w połowie drogi pomiędzy Leningradem a Moskwą, w obławie leningradzkim, na linii Wielkiego Nowogrodu. W tym mieście i wokół niego znajdowały się obozy przymusowej pracy dla różnorodnych więźniów, jeńców wojennych i dla takich jak my, jak później dowiedzieliśmy się, internowanych, zatrzymanych.

My wszyscy, wypuszczeni z wagonów, byliśmy brudni, bezsilni, spragnieni. Mężczyźni nosili brody. Niektórzy mieli już odmrożone różne części ciała. Większość z nas od razu rzuciła się na śnieg i lizała go. Przeszka-

dzała temu, z krzykiem i biciem, obsługa transportu, dotychczasowi nasi, sowieccy konwojenci. Przyszedł im z pomocą nowy oddział enkawudzistów, mający duże psy, wilczury, na smyczach.

Zaczęto odczytywać nasze nazwiska, sprawdzano obecność. I ja dopiero tam, wśród panującej już nocy, dowiedziałam się, że w transporcie są też moi bracia, Jan i Władysław. I dużo mężczyzn z Kolbuszowej, Kolbuszowej Dolnej i z innych miejscowości powiatu kolbuszowskiego. Razem kilkaset ludzi.

Nie pamiętam, ile czasu zabrało sprawdzanie naszej obecności. W pewnej chwili kazano nam stawać czwórkami, po "cietyre czołowieka", obstawiono enkawudzistami z psami i kazano - iść. Najpierw szliśmy przez miasto. Spotykaliśmy ludzi, tubylców. Ci, zwłaszcza młodzież, obrzucali nas pogardliwymi spojrzeniami i wołali "Polaczki - buntowszczyki, sukiny-syny, mikołaczyki". A my szliśmy, skostniaли, ślaniając się ze zmęczenia. Szliśmy przez noc, przebywając dziesięć czy piętnaście kilometrów, zaśnieżoną drogą. Już rano stanęliśmy przed obozem, łagrem, zespołem baraków, otoczonych rzędami drutu kolczastego, przy którym wznosiły się wieże wartownicze, prawie takie same, jakie były u nas w niemieckich obozach koncentracyjnych. Tylko nad bramą wejściową wisiała olbrzymia, czerwona gwiazda. Otwarto tę bramę i wpuszczono do obozu nas, kobiety i pewną ilość starszych mężczyzn z transportu. Innych mężczyzn popędzono dalej. Byli wśród nich i moi bracia.

My, pozostawieni w pierwszym obozie, czekaliśmy dosyć długo, zanim wyszli ludzie z obsługi obozu i przyjęli nas. Później dowiedzieliśmy się, że obóz ten nosił nazwę - Szybotowo. Polacy nazwali go - Szepetowo. Znajdował się on na podmokłej, bagnistej dolinie, nie posiadającej, w zasięgu wzroku, ani drzew, ani krzewów. W barakach obozowych długich na około piętnaście metrów, szerokich na pięć metrów, byli już ludzie. Byli Polacy od Warszawy i Lubelszczyzny, Niemcy i Węgrzy. Gdy obsługa obozu przyjęła nas, dano się nam napić ciepłego, nawet gorącego "kapiatoku". Kilka łyków ożywiło nas. Następnie wzięto nas do baraku - łaźni (bani), kobiety osobno, mężczyźni osobno. Banię obsługiwali mężczyźni, a my musiałyśmy całkowicie się rozebrać i oddać naszą odzież do dezynfekcji. Nam, wychowanym we wstydlivosti, to rozebranie się przy mężczyznach, było bardzo przykre. W łaźni nie było kąpieli, tylko mycie się, pochłapanie ciała ciepłą wodą z drewnianych korytek. Potem czekając na zwrot odzieży, wysychałyśmy. Gdy ubrałyśmy się, zostałyśmy przyprowadzone z powrotem do baraku. W baraku była jedna długa izba, zastawiona piętrowymi pryzkami z desek. Prycze tutaj nazywały się nary. Izba była lodowato zimna, chociaż stał na środku żelazny piec i leżało przy nim świeże drzewo z lasu, razem z gałęziami. Należało nim palić w piecu. W baraku zastałyśmy pewną ilość Niemek, które nie chodziły do pracy. Nam, nowo przybyłym dano kilkudniowy odpoczynek. Była to tak zwana kwarantanna. Dawano nam przez

te dni trzy razy dziennie po trochę zupy, ugotowanej na marynowanych śledziach z kiszonych liści kapusty czy buraków, oraz po kawałku czarnego, ciężkiego i lepkiego chleba. Jako naczynia na zupę używaliśmy puszek po konserwach. Powoli poznawaliśmy życie obozowe. Napisy nakazujące to czy tamto, czy zabraniające tego czy tamtego, zrobione były w języku rosyjskim i niemieckim. Komendantem obozu był oficer, chyba Rosjanin, który mówił po rosyjsku, po polsku i po niemiecku. My mieszkając w tym baraku przez cztery miesiące, nie rozmawialiśmy z Niemkami.

Po kilku dniach kwarantanny oglądnięto nas i podzielono na grupy, jakby brygady (zawod). Każdy zawod miał przywódczynię. Jedne zawody skierowano do pracy w kuchni, inne w pralni, w szwalni czy w magazynie, gdzie sortowało się ponemiecką odzież. Z powodu tego, że pracowaliśmy w budynku pod dachem, położenie nasze było lepsze, niż położenie mężczyzn, którzy chodzili do pracy na dworze, na drogach czy w lesie. Była to przecież rosyjska, surowa zima. Praca w kuchni dawała możliwość zjedzenia czegoś po kryjomu, nawet schowania czegoś dla kogoś znajomego, a praca w magazynie pozwalała zdobyć coś z sortowanej odzieży, coś do ubrania się, do położenia na gołych deskach pryczy. Gdy człowiek się zadomowił, poznał jak rozwijał się w obozie handel wymienny. Nie posiadałyśmy nic poza pryzkami i jakimś stołem, ale z czasem każda z nas zdobyła jakiś woreczek czy węzełek i trzymała w nim coś swojego, puszkę z konserw służącą za garnuszek i talerz, jakąś zdobytą odzież, czy kawałek gazety.

W każdej pracy wyznaczona była dzienna norma do wykonania i po dniówce "normirowszczyk" sprawdzał wykonanie normy. Od jej wykonania zależało otrzymanie normy dziennego pożywienia. Kto nie wykonał normy pracy, nie dostał i normy pożywienia.

Moją pierwszą pracą była praca w pralni obozowej. Rano "normirowszczyk" przydzielał każdej z nas piętnaście sztuk odzieży do wyprania przez dzień. Pralnia i suszarnia mieściły się w oddzielnych barakach. W obydwóch paliło się w piecach, w pralni dla zagrzania wody do prania, w suszarni, żeby wyprane rzeczy szybciej schły. Prało nas kilkanaście kobiet. Rzeczy przeznaczone do prania były bardzo brudne, prałyśmy je w niezbyt ciepłej wodzie na drewnianej tarce, pocierając mydłem. Proszku nie dostawałyśmy. Bielizny nie gotowałyśmy i po naszym praniu była ona ciemna, szara, prawie ziemista, a schła tygodniami. Zawsze pilnował nas jakiś żołnierz. Po ośmiu godzinach pracy wieczorem "normirowszczyk" oceniał jej wynik. W barakach było światło elektryczne.

Do Szybotowa przywieziono nas na początku 1944 r. Po kwarantannie i kilkunastu dniach pracy były Święta Bożego Narodzenia. Pierwsze na deportacji. W święta pracowaliśmy normalnie jak w dniu powszednie. Jednak koleżanki pracujące w kuchni starały się zorganizować po jakimś ziemniaku czy łyżce cukru. Wieczór, po pracy, śpiewałyśmy kolędy.

Po świętach brano mnie wraz z innymi kobietami do palenia w izbach barakowych, w których były przechowywane ziemniaki, gotowane głównie dla radzieckiej obsługi obozu i czasem w zupie dla nas, do mycia beczek po kapuście czy kiszonych liściach buraczanych. Wtedy można było zdobyć coś do zjedzenia. Pod wiosną przebierałyśmy ziemniaki i marchew. Konwojent, poproszony, pozwolił czasem ugotować ziemniaków czy marchwi w zdobytej puszcze po gazmasce. Dostawało się po ziemniaku czy po dwa, upieczone razem ze skórką. Czasem sprzątało się w głównym magazynie żywnościowym i wtedy coś zawsze skorzystało się dla siebie. Jeszcze raz podkreślam, że sam fakt że pracowało się pod dachem był dobrodziejstwem. Korzystało z tego dobrodziejstwa i część mężczyzn: rzemieślnicy, krawcy, szyjący odzież dla obsługi obozu, szewcy, naprawiający stare obuwie czy robiący dla kogoś z "naczalstwa" nowe buty, ślusarze dokonujący różnych napraw. Warsztaty były w osobnych barakach. Wszelkie kontakty męsko - damskie "interniowanych" były surowo zabronione. Najgorzej było tym, którzy pracowali poza obozem, w kopalniach, lasach, na drogach. Pytaliśmy się nie raz lepszych naszych nadzorców, za co zostaliśmy tu przywiezieni i kiedy powrócimy do domów? Dawali różne odpowiedzi. Jeden mówił, że jesteśmy tu dlatego, że "chcieli my Polszu od morza do morza". Ale dawali nadzieję na dzień powrotu.

W marcu 1945 r. słońce mocniej przygrzewało i zaczynała się robić wiosna. Chyba wtedy zmarł w obozie w Szybotowie Jerzy Maria hrabia Tyszkiewicz, potomek dawnych właścicieli kolbuszowskiego majątku ziemskiego. Był w naszym transporcie i zostawiono go, w grudniu 1944 r., w obozie w Szybotowie. Kolbuszowianki pracujące w kuchni, jak Natalia Babko, Zofia Gruszkówna i Januszewska, starały się dostarczyć mu trochę więcej pożywienia, ale i tak rozstał się z życiem. Umierali i inni. Grzebano zmarłych płytko, w zamrzniętej ziemi, właściwie w lodzie. Pobyt w Szybotowie był bardzo smutny.

Była już wiosna, gdy Sowietci dokonali wymiany nas, więźniów z Szybotowa i więźniów z obozu, położonego kilka czy kilkanaście kilometrów na północ. Miejscowość tamta nosiła nazwę Jegolsk, a Polacy nazywali ją Joglą. Przybyli wtedy do Szybotowa kolbuszowianie, którzy w grudniu od razu byli zaprowadzeni do Jogły. W czasie tej wymiany, w Szybotowie, spotkałam się z moimi braćmi i dowiedziałam się, że podali się za szewców, chociaż nimi nie byli i dostali pracę w warsztacie szewskim. Sprawili mi to radość.

Obóz w Jegolsku był o wiele większy niż w Szybotowie i bardziej zaludniony. Także leżał na terenie bezdrzewnym, ale na wzgórzu, nad szeroką, chociaż płytką rzeką Mstą. Niektóre baraki wkopane były w ziemię, stanowiąc ziemianki o małych okienkach.

W drodze do tego obozu spotykałyśmy domy tubylców, drewniane chaty. Po podwórzu nie kręcił się żaden człowiek, ani nie wyglądał oknem. Jedy-

ny dowód, że w domach żyją ludzie, stanowił dym, unoszący się z kominów. Nawet dzieci nie było widać.

Niedaleko, po kilkanaście kilometrów w różnych kierunkach, znajdowały się inne obozy przymusowej, niewolniczej pracy. Były to Kawanka, Szachta (obóz koło kopalni nisko kalorycznego węgla) i Ujście.

W Jegolsku (Jogle) przeżyłam, jak i większość moich towarzyszek i towarzyszy niedoli, prawie rok. Mnie znowu przydzielono do pracy w pralni. Przywożone całe samochody ciężarowe niemieckiej odzieży wojskowej, czasem z zakrzepłymi plamami krwi. Sortowaliśmy to wszystko i prałyśmy. W szwalni latało się potargane sztuki. Były okazje do schowania czegoś odpowiedniego dla siebie. Przerabiało się to potem na bluzki, sukienki, kurtki.

Na początku pobytu w tym obozie przeżyliśmy Wielkanoc. Niedaleko od obozu znajdowała się dawna cerkiew, użytkowana jako magazyn zbożowy. Któryś z Polaków znalazł w jakimś jej kącie szaty kapłańskie. Wśród Niemców był ksiądz katolicki. On wiedział w jakim dniu przypada Wielkanoc i urządził nam w jednym z baraków świąteczne nabożeństwo. Postarał się nawet o zrobienie, w porozumieniu z kucharkami, opłatków i udzielił nam rozgrzeszenia i Komunii św. Wnet potem przyszła wiadomość, że wojna w Europie została zakończona. Był to już maj. Rosjanie mówili, że już niedługo wrócimy do domów. W serca wstąpiła otucha.

Na wiosnę czasami brano nas do oczyszczania dróg ze śniegu, a gdy ona zrobiła się na dobre, prowadzono nas, głównie w niedzielę, do siania jarzyn w okolicznych sowchozach i kołchozach.

Ciekawa byłam, jak żyją ludzie, tubylcy, w spotykanym to tu, to tam domku. Nie wolno nam było wchodzić do nich, ale ja raz, ukradkiem weszłam do jednego domku. Domek miał dwie małe izby czyściutko utrzymane. Podłoga była prawie, że biała. W domku była kobieta z kilkorgiem dzieci. Smażyła jakieś placki. Szybko podała mi jeden placuszek i kazała iść. Powiedziała, że nam nie wolno wchodzić do domów, a im rozmawiać z nami.

W lecie mieszkanie w ziemiankach było nawet przyjemne. Reżim obozowy nieco zelżał i pozwolono nam urządzić męsko - damski występ "kulturalny", przedstawienie. Pozawiażywały się pomiędzy rodakami znajomości a nawet i sympatie. Ale nasi mężczyźni, cierpiący na awitaminozę, zjadłszy coś niewłaściwego, napiwszy się nie przegotowanej wody, chorowali na czerwonkę i umierali. Było to bardzo smutne.

Także lato na Syberii jest bardzo krótkie. We wrześniu była już pełna jesień. Znowu prowadzono nas, w niedzielę, do sowchozów, kopać marchew, ziemniaki, wycinać kapustę. Ziemia była tam bardzo urodzajna. W krótkim czasie warzywa te urosły duże. Myśmy o tyle korzystali, że mogliśmy sobie upiec ziemniaków, czy czasem schować jakieś jarzyny do kieszeni. Nieraz, przy wejściu do obozu robiono nam rewizję osobistą i zabie-

rano znalezione rzeczy. Niekiedy udało się jednak coś przenieść i skorzystać z tego w obozie.

Dreńczyła nas tęsknota za domem, za rodzinami, brak jakiegś wiadomości od nich. Bardzo bolało gruboskórne wzywianie konwojentów do pracy słowami: "dawaj dziwki na rabotu". Znowu przyszła zima, śniegi i mrozy i były drugie, w internowaniu, święta Bożego Narodzenia. Pracowałam wtedy w obozowej kuchni i po świętach przeżyłam bardzo ciężkie chwile. Same przecinałyśmy piłą drzewo, przeznaczone do palenia w piecach, a piła w obozie była tylko jedna i z kuchni pożyczali ją sobie mężczyźni na swoje ziemianki. Raz, gdy zabrali piłę, nie pomyślawszy, skoczyłam po nią do męskiego bloku. Było to surowo zabronione. Wzięłam piłę i zamieniłam kilka słów z mężczyznami, gdy nagle weszli do tego bloku dwaj Rosjanie i złapawszy mnie na "wielkim przestępstwie" wykrzyczeli mnie, chwycili i wepchnęli za karę do karceru, nazywanego "bunkrem". Była to mała, cementowa piwnica, bez okna, bez łóżka czy krzesła. Nawet szczury tam nie żyły. Oczywiście nie miała ogrzewania. Gdy mnie do niej wrzucono, zdenerwowana, usiadłam na podłodze, na cemencie i zaczęłam płakać. Tam spędziłam trzy doby. Raz na dzień wsuwano mi, przez szparę pod drzwiami, kawałek chleba i puszkę zupy. Zdawało mi się, że albo uduszę się w tym zamknięciu, albo umrę ze strachu i rozpacz. Przeziębłam się do szpiku kości, ale doczekałam się wypuszczenia. Nienawisć moja do rosyjskich potworów spotęgowała się, jednak pragnęłam przetrwać i wrócić do domu.

Po zamknięciu w bunkrze zachorowałam z przeziębienia. Dano mnie do "bolnicy", szpitala obozowego, gdzie lekarz leczył mnie, stawiając mi trzy posiadane bańki. Poleżałam, odpoczęłam w jakim takim ciepłe i wróciłam do baraku. Słabowałam dalej. Nie miałam sił pracować. Byłabym tam skończyła się, została na zawsze w tamtejszej, jakże obcej ziemi, ale w lutym przyszedł dla mnie i dla nas wszystkich Polaków szczęśliwy moment - powrót do domu. Mróz wtedy był czterdziestostopniowy, śniegi duże. One to sprawiły, że "naczelstwo" obozowe nie wysłało nas do stacji kolejowej w Borowiczach na piechotę, ale odwieziono nas tam samochodami ciężarowymi z demobilu. Załadowano nas, kobiety i mężczyźni oddzielnie, znowu do zimnych wagonów towarowych. Nie wszystkie wracałyśmy, bo niektóre pozostawiono jeszcze na rosyjskiej ziemi. Byłyśmy szczęśliwe. Jechały też z nami dwie dziewczynki, niemowlak, urodzone w obozie w Jogle, Swietłana Bartosiewicz i Barbara Pękalska. Pociąg znowu miał przestoje przed uzyskaniem wjazdu na stacje. Znowu raz na dzień wsuwano nam do wagonu naczynie z chlebem, zupą-wodą i "kipiatokiem". Teraz łyżki miałyśmy swoje. Wiozłyśmy do domów, na pamiątkę, drewniane łyżki, które robili nam nasi znajomi mężczyźni w obozie. Jechałyśmy całe dwa tygodnie, ale teraz każdy odcinek drogi zbliżał nas do kraju, do swoich i radość dodawała nam sił.

Ja miałam chory kręgosłup, ale jakoś jechałam. W Białej Podlaskiej, już w Polsce, mieszkańcy witali nas bardzo serdecznie. Chcieli nas karmić wszystkim, co mieli najlepszego. Musieliśmy jednak jeść ostrożnie, żeby powoli przyzwyczajać się do normalnego odżywiania. W tym mieście dano nam też papier ze zdjęciem, będący tymczasowym dowodem tożsamości, uprawniający do bezpłatnego skorzystania ze środków lokomocji w drodze do domu. Była w nim uwaga, nakazująca zgłosić się w miejscu zamieszkania, do tamtejszych władz bezpieczeństwa.

Wróciłam z obydwojma braćmi do Matki i do domu. Wysłano mnie zaraz do sanatorium przeciwgruźliczego. Ojciec przysłał z USA potrzebne lekarstwa. Brałam bolesne zastrzyki w kręgosłup i powoli wyzdrowiałam. W ponad rok później wysłałam za męża za Kazimierza Klinke. Z czasem zostałam matką dwojga dzieci, córki i syna. Bezprawna, bestialską deportację do ZSRR wspominam jako zły sen.

Post scriptum:

W tym samym transporcie co i Maria Skowrońska zostały wywiezione z Kolbuszowej, w listopadzie 1944 roku, do łagrów w ZSRR, w okolicę Borowicz następujące kobiety: Natalia Babko, nauczycielka, Maria Dudzińska, gimnazjalistka, Zofia Golniewicz, gimnazjalistka, Zofia Gruszka, nauczycielka, Zofia Januszewska, Anna Kic, pracownica

Kolbuszowskiego magistratu, Zofia Kotlarek, gimnazjalistka, Aniela Mielcuszny, gimnazjalistka, Stefania Opalińska, żona Ludwika, piekarza, który dostarczał chleb członkom AK w czasie akcji "Burza", Zofia Wildhirt, gimnazjalistka. Wszystkie te osoby były członkami AK. Z Ranizowa została wywieziona w tym transporcie Anna Pękalska. W drugim transporcie, wystanym do Stalinogorska, z kobiet była tylko Władysława Rychłowa.

Maria Skowrońska- Klinke, urodziwa, wysoka, szczupła, czarnowłosa, bardzo szlachetna osoba, zmarła w lecie 1989 roku mając tylko sześćdziesiąt osiem lat. Mąż, Kazimierz Klinke, zmarł wcześniej. Żyją ich dzieci i wnuki. Córka Barbara, za mężem Ungert, mieszka w Kolbuszowej. Syn Andrzej jest utalentowanym skrzypkiem Orkiestry Symfonicznej w Krakowie.

Halina Dudzińska

*Wspomnienie z pobytu w łagrach Związku Radzieckiego
w latach 1944-1946*

Urodziłem się w 1909 r. We wsi Trzęsówka, w powiecie kolbuszowskim, jako pierwsze z jedenaściorga dzieci Michała Magdy i Honoraty z Wołowców, rolników na pięciu hektarach piaszczystej, ubogiej, puszczańskiej niegdyś ziemi. Dzisiaj Trzęsówka należy do gminy Cmolas. Nas, z rodzeństwa wychowało się dziewięć osób, dwie siostry i siedmiu braci. Rodzice nasi byli bardzo pracowici, uczciwi, a nawet i patriotyczni. Duży wpływ na nas mieli właściciele trzęsowskiego pałacu i folwarku, znajdujących się niedaleko od naszego domu. Lata wczesnego mojego dzieciństwa przypadły na czas pierwszej wojny światowej. Wojna ta przyniosła odbudowanie niepodległego państwa polskiego, co obudziło entuzjazm większości Polaków. Po wsiach jednak, a i w miastach, panowała duża bieda.

W Polsce już skończyłem sześć klas szkoły powszechnej i pomagałem rodzicom. Wyrosłem wysoki i dosyć mocny. Chciałem pracować i dorobić się czegoś w życiu. W latach 1926-1928 byłem trzy razy na "saksach", czyli na robotach sezonowych, letnich, w Niemczech koło Hamburga. Pracowałem w gospodarstwach rolnych. Nauczyłem się trochę języka niemieckiego. W roku 1929 pojechałem do pracy do Francji. Dostałem się do zakładów metalurgicznych koło Metz. Byłem tam przez trzy lata i zarobiłem trochę pieniędzy. Zbliżał się dla mnie czas służby wojskowej, więc wróciłem do domu. Tutaj zaraz wzięto mnie do służby w 22 pułku artylerii lekkiej, stacjonującego na Bakończycach, jak się mówiło, za Przemyśłem. Skierowano mnie do podoficerskiej szkoły łączności. Po jej ukończeniu dostałem stopień kaprała. Poznałem koszary, życie w nich, ale nie spodziewałem się, że będę w nich później jeszcze raz. Po stażu wojskowym w 1934 r. przyjechałem do domu i wnet, na Boże Narodzenie ożeniłem się ze Stefaną Czachor z mojej wsi. Przeniosłem się do jej domu i gospodarstwa, trochę dalej od folwarku. Gospodarowałem na roli, a dodatkowo nauczyłem się robić koła do chłopskich wozów. Zajmowali się tym wtedy liczni mężczyźni z Trzęsówki. Zaczęły przychodzić na świat dzieci.

W 1939 r. wzięto mnie na ćwiczenia wojskowe i dano po nich stopień plutonowego. 30 sierpnia 1939 r. znowu wezwano mnie do Bakończyc, teraz już na wojnę. 1 września Niemcy napadli na Polskę. Zaczęła się wojna. Byłem radiotelegrafistą, ale mój szlak bojowy był krótki. Niemcy

dopadli nas pod Kamią Strumilową i rozbili. Dostałem się do niewoli Napastnicy przyprowadzili nas do koszar w Bakońcycach. Potem wieźli do Niemiec. Uciekłem z pociągu i wróciłem do domu.

W 1940 roku podjąłem pracę w niemieckiej firmie budowlanej Hacker-Fritz z Mielca. Wnet Niemcy ogłosili wysiedlenie Trzęsówki, jak i innych okolicznych wsi. Pozwolili nam jednak pozostać w domach. Mężczyźni z Cmolasu i Ostrów Tuszowskich organizowali konspirację wojskową. Zostałem piątym członkiem grupy w Trzęsówce i przyjąłem pseudonim "Piątek". Później, w 1943 r., zorganizowałem w Trzęsówce pluton Armii Krajowej (AK) "Trzcina". Należeli też do niego i moi bracia. Uczestniczyłem w jego szkoleniu. W lipcu 1944 r. uczestniczyłem w akcji "Burza" w Porębach Kupieńskich i w Kolbuszowej, w plutonie "Huragan". Pod koniec "Burzy" komendant "Boryna" polecił mi udać się do Trzęsówki i Kosowów i rozdzielić pomiędzy ich mieszkańców zboże, pozostałe po niemieckim baurze. Tego bauera oczywiście już nie było. Przyszła armia radziecka, Armia Czerwona. Spełniłem polecenie "Boryny" jednak nie wszyscy dostali tyle, ile sobie życzyli.

Potem było życie w obecności Rosjan i pod rzekomo polskim "prawicielstwem", czyli w powstającej Polsce Ludowej. Władzę obejmowali komuniści. Tworzyli władze administracyjne i polityczne. Ważną władzą polityczną był Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, mający wyszukiwać i unieszkodliwiać "wrogów klasowych" komunistów. W Kolbuszowej stworzono taki Urząd Powiatowy (PUBP), nazywany w skrócie UB. Milicja Obywatelska (MO) zastąpiła policję. Wnet nowy, komunistyczny rząd polski wezwał mężczyzn do służby w Ludowym Wojsku Polskim. Mężczyźni nie zgłaszali się. Ubowcy i enkawudyści, radzieccy policjanci, towarzyszący armii frontowej, rozpoczęli aresztowania. My, akowcy, nie mieliśmy uczucia wrogości do przybyłych i ciągle napływających żołnierzy radzieckich, chociaż byliśmy żołnierzami polskiego rządu emigracyjnego, działającego w Londynie i chcieliśmy odbudowania Polski o ustroju kapitalistycznym, związanej sojuszem z państwami zachodnimi. A tu nowe "prawicielstwo" wiązało nas z Rosją, znanym, odwiecznym wrogiem wolnej Polski. Pragnęliśmy, aby armia radziecka, walcząca z Niemcami, naszym wspólnym wrogiem, żeby przeszła przez naszą ziemię do Niemiec i nie mieszała się w nasze sprawy. Tymczasem było inaczej. Powróciliśmy z akcji "Burza" do domów pełni rozczarowania i niepewności. Niektórzy Sowieci od razu okazywali nam niechęć. My pocieszaaliśmy się tym, że ci Sowieci nie znali przecież naszych nazwisk i miejsc zamieszkania, więc nie dotrą do nas i nie będą nam szkodzić. Nie spodziewaliśmy się, że ci obcy przybysze znajdą donosicieli i współpracowników wśród naszych ludzi, wśród Polaków, że zostaniemy wydani wrogom.

Po powrocie z akcji "Burza" pracowałem w domowym gospodarstwie, nadrabiając stracony czas. Nie interesowałem się zbyt polityką, chociaż

zapoznałem się z treścią Manifestu PKWN i przyglądałem się temu, co się działo wokół. Słyszając o zamierzonym poborze do LWP, miałem zamiar pójść do tego wojska i dalej walczyć z faszyzmem. Tymczasem w moim domu znalazła pomieszczenie radziecka kuchnia kompanijna i spalała kupione przeze mnie drzewo. A ja miałem sześcioro małych dzieci. Jedno dopiero się urodziło.

W pierwszych dniach października odwiedził mnie Wojciech Lis, stary znajomy, dzielny wojenny partyzant i pogromca Niemców w tutejszych stronach. Też akowiec, po akcji "Burza" wstąpił do MO w Mielcu, ale przed odwiedzeniem mnie porzucił tę pracę, gdyż jak mówił - NKWD, UB i MO miały podjąć aresztowania byłych żołnierzy AK. On postanowił, że nie da się ująć, że ukryje się w lesie. Ostrzegał, że przyjdą i po mnie i namawiał, żebym poszedł z nim do lasu. Odpowiedziałem, że on jest kawalerem i nie ma gospodarstwa, ja mam żonę, dzieci i gospodarstwo, musiałem być z nimi. Zresztą - za co mieliby mnie aresztować. Należałem do AK, chciałem walczyć z Niemcami o wolność Polski, ale po przyjeździe Sowieców nie prowadziłem żadnej działalności konspiracyjnej, pracowałem w domu, nie zajmując się polityką. W naszej, zniszczonej wojną wsi było tak dużo do roboty.

Ale nie długo cieszyłem się pracą w mojej wsi, w oswobodzonej ojczyźnie. W dniu 1 grudnia 1944 r. przyszli do mojego domu trzej obcy ludzie razem z naszym sołtysem, Kazimierzem Magdą i zabrali nas - mojego ojca Michała, mnie i dwóch młodszych braci, Jana i Czesława. Demolowali mieszkanie, szukając broni i dokumentów konspiracyjnych. Nic takiego nie znaleźli. Wzięli więc moją książeczkę wojskową i papiery z Francji. Zawieźli nas do Urzędu Bezpieczeństwa (PUBP) w Kolbuszowej. Zaraz rozpoczęto przesłuchania. Potem wepchnięto nas do piwnicy. Drugie przesłuchanie miałem po dwóch dniach. Wtedy ubek rzucił mi taboretem w plecy, bo nie pamiętałem "kaka moje pseudo". Pytał mnie o to oficer NKWD. Pytano mnie dalej, kto należał do plutonu "Trzcina" w Trzęsówce, z jakimi ludźmi, o jakich pseudonimach się spotykałem. Gdy znowu nie pamiętałem, dostałem w twarz od leutnanta - enkawudzisty. Gdy próbowałem mówić byle co, usłyszałem, że "breszę" i "idy w czortu".

Mojego brata Czesława, jeszcze małoletniego, puszczono do domu. Nas trzech, ojca, brata Jana i mnie załadowano, w dniu 12 grudnia, razem z innymi mężczyznami z powiatu kolbuszowskiego, często znajomymi, na samochody ciężarowe i zawieziono do więzienia w zamku w Rzeszowie. I znowu wrzucono nas do suteren. Był grudzień, Cele były zimne. Spaliśmy na siennikach na podłodze. Ale co to było za spanie, gdy w nocy, dwa albo trzy razy wywoływano każdego i prowadzono na przesłuchanie do budynku wojewódzkiego UB. Przesłuchiwali dwaj Sowieci, major i porucznik. Polski porucznik był tłumaczem. I tam, pomimo różnych szykan, niczego sobie nie przypominałem. Jeść dawano nam dwa razy dziennie, rano i

wieczorem, po kawałku jęczmiennego, razowego chleba i po garnuszku ciepłej wody, ozdobionej kilkoma ziarenkami przypalonego jęczmienia.

Jednego dnia zabrano nas z suterenu do sali na drugim piętrze. Było w niej już około czterdzieści osób ale i tak było tutaj lepiej niż w piwnicy. Przez duże okna był widok na miasto i Wisłok. Spanie i jedzenie było takie same, jak w suterenu. Robiono nam często rewizje, to za nożem, którym krzesano ogień w celu zapalenia papierosa, to za ołówkami, służącymi do pisania kartek do najbliższych, czasem przemycanych na zewnątrz.

W dniu 5 stycznia 1945 r. zwolniono mojego sześćdziesięcioletniego ojca. Gdy wrócił do domu i powiedział, gdzie jestem z bratem, żona zaraz przywiozła mi świeżą bieliznę, bochen chleba i trochę machorki. Chleb został podzielony pomiędzy wszystkie osoby w celi. Bardzo smakował. Machorką częstowaliśmy się, jeden papieros na trzech. Był kłopot z ukryciem dymu.

W dniu 13 stycznia ubowcy wyprowadzili nas na dziedziniec więzienny, załadowali na ciężarówkę i wieźli na wschód. Każdy z nas myślał, jakby uciec, ale na każdej platformie samochodowej siedziało trzech uzbrojonych ubowców - konwojentów. Wieziono nas w kilku samochodach przez Łańcut, Przeworsk i Jarosław do Przemyśla. Przy szosie, co sto pięćdziesiąt, dwieście metrów, stał uzbrojony żołnierz radziecki. Przywieziono nas do znajomych mi już koszar wojskowych w Bakończech. Tutaj pożywienie było trochę lepsze, fryzjer, Niemiec, pozbawił nas naszych kilkutygodniowych czupryn i bród. Można też było pochodzić po podwórzu, po powietrzu, czego byliśmy spragnieni.

Chyba w dniu 15 stycznia zabrano nas i zaprowadzono, pod konwojem Sowietów, na miejscową stację kolejową. Tam wepchnięto nas do stojących wagonów towarowych. Osiemdziesięciu mężczyzn do jednego wagonu. Mój brat i inni znajomi byli ze mną. Okienka wagonów były zakratowane drutem kolczastym. Czuliśmy się bardzo źle, nie wiedząc, dokąd nas wieziono. Niektórzy z nas, chociaż mężczyźni, byli wyczerpani psychicznie i płakali.

Gdy na stacji rozbłysły wieczorne światła lokomotywa stuknęła o wagony i ruszyliśmy w nieznaną drogę. Osoby bardziej energiczne starały się dostać do okienka i próbowali obserwować mijaną trasę. Wiedzieliśmy, że w nocy minęliśmy Lwów. Pociąg jechał, zatrzymując się co jakiś czas i przesuając na "przetok", bocznice, gdy nie miał wolnej drogi. A droga wiodła na północny wschód. Rano, w czasie postoju, otwierano zamknięte drzwi wagonu i wsuwano do niego nasze "pożywienie" - kilogram chleba na osiemdziesiąt osób i dwa wiaderka "kapiatoku", gorącej wody, zabarwionej pewną ilością jakichś ziół, mięty, rumianku czy innych. Czasem, wieczorem, dawano nam także trochę "kapustniaku", to jest wody, lekko pomaszczonej z odrobiną kwaśnej kapusty. Wrzucano do wagonu i po parę okrągłaków świeżego drewna, do palenia w żelaznym piecyku. Okrągłaki trzeba było łupać leżącym kilofem, ale i tak palić nimi było trudno. Była

rosyjska zima, mróz. Ściany wagonu oblepiały szron. Jego podłogę stanowiła jedna tafła lodu. A my musieliśmy układać się na niej do snu. Zimno nie dawało spać. Potrzebę naturalną załatwiała się przez otwór zrobiony w jednym z kątów wagonu. Na zewnątrz wagonów, na ich dachach, w specjalnych budkach siedzieli wartownicy, konwojenci, pilnujący nas. Zmieniali się dwa razy w ciągu nocy. W czasie zmiany warty konwojenci wchodziłi do wagonów i sprawdzali, czy jesteśmy wszyscy. Było to bardzo męczące. Pociąg to jechał, to przystawał. Przez zadrukowane okienko zobaczyliśmy czasem promień słońca, także mijane wielkie pola i lasy. Popalone wsie świadczyły o ciężkich, przebytych w zeszłym roku, walkach z Niemcami. Gdzieniedzie stały szkielety zniszczonych lokomotyw i wagonów.

W Kijowie staliśmy tylko godzinę. Pomyślałem, że był tu niegdyś Bolesław Chrobry, polski książę i miał uderzyć mieczem w Złotą Bramę. Pociąg wolno sunął przez most na Dnieprze. Pan Socha, artysta malarz z Gorlic zastanawiał się, z której strony pociągu zobaczymy jutro słońce. Jeżeli z lewej, to będzie znak, że jedziemy na południe, jeżeli z prawej, to będziemy jechać na północ. Lepiej byłoby jechać na południe, w cieplejsze strony. Ale następnego dnia zobaczyliśmy promień słońca z prawej strony. Stwierdziliśmy, że wiozą nas na północny wschód. Pewnie według odwiecznej tradycji - na Sybir. Serca nam zamierają. Cisną się myśli o opuszczonej rodzinie. Czy się do niej powróci? A pociąg stale zatrzymuje się i na coś czeka. Minęło już dwa tygodnie naszej ciężkiej, o głodzie i zimnie, jazdy w nieznanie. Kolega Jan Bator z Rzeszowszczyzny, czytający po rosyjsku, dopuszczony do okienka, nie może odczytać napisów, umieszczonych na mijanych stacjach. Duże stacje przejeżdżamy przeważnie w nocy. Wreszcie przeczytał nazwę dużej stacji - "Oreł". Orzeł. Jedziemy więc, stwierdził, w stronę Moskwy. Wleczemy się, nie jedziemy. Nie jesteśmy jeszcze bardzo daleko od domów. W normalnych warunkach, normalnym pociągiem, można by przebyć tę drogę w parę dni. A nas tak męczy. Czasem nie dawano nam drzewa do palenia. Warstwa szronu na ścianach była coraz grubsza. Grudki jego spadały czasem na twarz albo za kołnierz.

Gdy minęło dwadzieścia dni jazdy, pan Bator przeczytał nazwę stacji - Tuła. Pociąg stanął. Podobno Tuła leży na południe od Moskwy. Znowu przetoczono nas na bocznice, ale nie każą wysiadać. Mróz był duży. Śnieg poza wagonem także. Otworzono drzwi wagonu i dano nam, na powitanie, po kawałku chleba i po kilka łyżek "kapiatoku". Staraliśmy się ruszać w miarę możliwości, żeby nie zamrznąć. A staliśmy całą noc. Rano wrzuciono nam parę drewnianych do palenia, ale nie dano nic do jedzenia. Potem zmieniono lokomotywę i znowu ruszyliśmy. Tym razem jechaliśmy niezbyt długo. Wnet stanęliśmy w polu. Odjęto lokomotywę. Dano do wagonu po małej porcji suszonego chleba, bez "kapiatoku". Po paru godzinach otwarto drzwi wagonu i kazano wychodzić. Zobaczyliśmy ze stu wojskowych męż-

czyzn z bronią w rękę, i psami na smyczach. Był silny mróz i wiatr. Zatykało oddech. Sformowano nas w kolumnę marszową. Padła komenda – “krukom marsz”. Ruszyliśmy. Popatrzyłem przed siebie i do tyłu. Zobaczyłem smutny widok zesłańców idący po rosyjskiej ziemi, ludzi wynędzniałych, brudnych i zarośniętych. Przypomniał mi się pochód Żydów, prowadzonych przez esesmanów w 1943 r., z Mielca do Żłotnik na rozstrzelanie. Pomyślałem, że może i my idziemy na stracenie. Inna myśl mówiła, że gdyby miano nas stracić, to zrobiono by to bliżej ziem polskich, nie musiano by wieźć nas tak daleko.

Szliśmy, pod konwojem, dwa czy trzy kilometry. Na olbrzymim terenie nie było wiosek, mieszkań tubylców. Były tylko więzienne obozy pracy. Były baraki, czy inne budynki, otoczone drutami kolczastymi i stojącymi, wśród drutów, wieżami wartowniczymi. Obozy, tak bardzo podobne do niemieckich obozów koncentracyjnych. Nad bramami wejściowymi widniały gwiazdy, godła ZSRR. Ale to zobaczyliśmy później. Bo gdy przyprowadzono nas do jednego z obozów, z niemiecka łagru, było już ciemno. Później też dowiedzieliśmy się, że te łagry znajdują się na wschód od Tuły i mniejszego miasta Stalinogorska, na terenie Podmoskiewskiego Okręgu Przemysłowego, że będziemy tutaj pracować, że w tych obozach żyją w nędzy i pracują tysiące więźniów różnej narodowości, głównie jednak Polacy i Niemcy. Dzisiaj Stalinogorsk nazywa się Nowomoskowsk.

Zaprowadzono nas do obozu numer trzynaście. Wzięto nas do “stołowa-
ji” na posiłek. Było w niej prawie tak samo zimno, jak i na zewnątrz. Ściany były oszronione. Dano nam trochę kapuśniaku, ugotowanego na śledziu i po dwie, trzy łyżki kaszy manny. Kapuśniak był kwaśny i smaczny, ale wszystkiego było mału. Przecież każdy z nas był tak bardzo wygłodzony. Nie było mowy o dostaniu drugiej porcji. Wnet zaprowadzono nas do głównego budynku obozu, do dużej i piętrowej sali, hali. Była to hala dawnej, prywatnej fabryki. Stały w niej dziesięciopiętrowe prycze - nary, z gołych desek, bez sienników, poduszek i kocy. Mielśmy na nich spać. Ja i brat Janek zajęliśmy sobie miejsce wysoko, prawie w ostatnim rzędzie, licząc, że wyżej będzie cieplej. Bo i tu było zimno jak w lochu. Nie zważając na nic, wyczerpani, rzuciliśmy się na deski, ściągawszy tylko buty. Położyliśmy je sobie pod głowy, z obawy przed “kupcami”. Zasnęliśmy i spaliśmy nawet dobrze, już nie kolebiąc się w pociągu.

Ze snu zerwano nas wcześniej rano. Kazano znaleźć sobie jakieś naczynie na zupę. W kącie obozu leżała sterta puszek po konserwach. Tam znaleźliśmy sobie “miski” na zupę. Dano nam jej, raczej ciepłej wody i po kawałku czarnego, lepkiego chleba. Po tym śniadaniu wzięto nas, brudnych i zarośniętych, do “parikmachera”, czyli fryzjera, a potem do – “bani”. W tej łaźni nie było wanien, tylko drewniane korytka do mycia, z ciepłą wodą. Pochlapaliśmy się w nich, jeden po drugim, stojąc na golasa. Nasze ubrania zabrano do odwszalni i dezynfekcji. Gdy je odebraliśmy, wróciliśmy do hali.

Potem mieliśmy sześć dni kwarantanny i odpoczynku. Wzywano nas tylko do prac porządkowych wewnątrz obozu, do odgarniania śniegu, obierania ziemniaków, z których połowa była zgnita, dostarczania drzewa do kuchni. Po sześciu dniach stanęliśmy przed komisją, która podzieliła nas na grupy, według wieku i stanu zdrowia. Do I i II grupy zaliczono osoby młode i przeznaczono je do pracy w kopalni węgla. Osoby nieco starsze, z III grupy, zostały “pastroitielami”, budowniczymi. Osoby najstarsze, z IV grupy, miały pracować tylko dla obozu.

Ja zostałem przydzielony do “pastritielskiego zawoda”, do grupy budowlanej. Wnet zaprowadzono nas do obozu numer 16, oddalonego o kilka kilometrów, bliżej Stalinogorska. Dzień był piękny, mroźny, ale słoneczny. Dużo śniegu leżało dookoła. Naszą kolumnę prowadził silny, oczywiście uzbrojony konwój Sowieców. Do nowego obozu przyszedliśmy w południe. Było tam kilkanaście drewnianych baraków, otoczonych strażnicami i ogrodzonych drutem kolczastym. Zaprowadzono nas do jednego z baraków i znowu każdemu przydzielono pryczę. Tym razem nie było ze mną brata Jana. Jego przeznaczono do pracy w kopalni.

Następnego dnia podzielili nas na “zawody”, brygady robocze i pozwolono wziąć trochę cieplejszej odzieży - stary, wojskowy, niemiecki albo rosyjski płaszcz i czapkę, a gdy ktoś miał kiepskie buty, to mógł sobie wybrać na skórzanej albo drewnianej podeszwie. Drugiego dnia raniutko, prawie jeszcze po ciemku, musieliśmy stanąć na “prowierce” - apelu, na którym sprawdzano obecność. Następnie konwojenci zaprowadzili nas do pracy w tartaku, oddalonego o jakiś kilometr. Wyładowywaliśmy tam duże kłocę drzewne z wagonów kolejowych, sortowaliśmy je i układali w duże przyzmy. W obozie pozostali tylko członkowie IV grupy, przeznaczeni do pracy w nim oraz “bolni” - chorzy. Ci, co zostawali do pracy w obozie dostawali sanie bez koni i sami je ciągnąc w dziesięć osób, przywozili na nich węgiel z niezbyt odległej kopalni. W całym obozie był tylko jeden kiepski wóz i para małych, włochatych koników. Przywoziły one do obozu prowiant. Gdy później śnieg stopniał i nie można było jeździć saniami, obóz dostał drugi wózek i drugą parę koników do wożenia węgla.

Każdemu więźniowi, gdy zaczynał pracować, ogłoszono na “prowierce” wiadomość, że musi wykonywać dzienną normę pracy. Normę wyznaczał “normirowszczyk”. Gdy więzień wykonał normę pracy, dostawał - dzienną normę wyżywienia. Norma wyżywienia wynosiła: 60 dekagramów chleba, 80 dekagramów kapusty, 50 dekagramów ziemniaków i niewielkie ilości cukru, mąki, kaszy i soli. Kto nie wyrobił dziennej normy pracy dostawał połowę dziennej normy wyżywienia. Wykonanie normy sprawdzał, po dniu pracy, “normirowszczyk”. Prawie żaden więzień nie wykonał nigdy dziennej normy pracy i dostawaliśmy codziennie rano, przed wyjściem do pracy i wieczór, po powrocie z pracy, z kuchni, trochę kapuśniaku na rybnie i po dwie łyżki kaszy. Było to prawie nic, a praca, na powietrzu, była bardzo ciężka. Szybko chudliśmy i siły nasze wyczerpywały się. Dręczyła nas

tęsknota za krajem, domem, rodziną, nurtowało poczucie krzywdy. Ze starych gazet, kupowanych za duże pieniądze na papier do tytoniu, tytoniu zdobywanego z wielkim trudem, dowiadaliśmy się o sukcesach armii radzieckiej na frontach, o zdobyciu przez nią Warszawy, Poznania, o zdobywaniu Wału Pomorskiego. Przyjmowaliśmy te wiadomości z mieszanymi uczuciami, i z radością oraz nadzieją i ze smutkiem. Myśleliśmy, że Polska, nasza ojczyzna dostaje wolność, a my, cośmy walczyli o tę wolność, jesteśmy w niewoli, na obcej ziemi, w tak ciężkich warunkach, nie wiadomo na jak długo. I za co? Czy nasza działalność konspiracyjna przeciwko Niemcom była przestępstwem, czy musimy za nią pokutować, pracując jak niewolnicy, w obcym kraju, w głodzie i zimnie, bez wiadomości od rodzin, w niepewności jutra? Nikt nie dawał odpowiedzi na nasze pytania. Nie wolno było pisać do domów. Niektórzy z nas, zwłaszcza ci pracujący w kopalniach węgla, chorowali i umierali.

Ja pracowałem w tartaku, przy budowie baraków, przy odśnieżaniu dróg i torów kolejowych. Gdy przyszła wiosna i śnieg stopniał, w niedziele - dni naszego odpoczynku, zaczęto nas wysyłać w pole w sąsiednim kołchozie, do siania marchwi, sadzenia ziemniaków i kapusty. Wysyłano nas oddziałami, liczącymi około dwustu pięćdziesięciu mężczyzn, najpierw ze sztychówkami, zrobionymi ze starej blachy z kopalnianych wózków, do rycia ziemi, potem do siania czy sadzenia. Praca była ciężka. Miejscami ziemia, na niewielkiej głębokości, była zamarznięta, a najczęściej pola były twardym ugiem, na którym pasły się kozy. My, nie odżywienni, byliśmy słabi. Nie mieliśmy siły kopać grudy tępymi sztychówkami. A tutaj także musieliśmy wykonywać dzienną normę, żeby dostać normę żywienia. Jednak ugió powoli stawał się urodzajnym czarnoziemem, gotowym do zasadzenia w nim czegoś, najczęściej ziemniaków. Czasem ziemia była skopana tak płytko, że nie było czym przykryć włożonego w nią sadzeniaka. Myślałem, że z tej naszej roboty nic nie wyjdzie. Myliłem się. Ziemniaki, chociaż niedbale plewione i oporzędzane po zejściu, rosły bujnie, udały się.

W pewną sobotę po posadzeniu ziemniaków w polu, należącym do obozu, po mizernym, jak zawsze wieczornym posiłku, sam naczelnik obozu, zrobił nam zebranie w stołówce. Powiedział, że jutro jest niedziela, dzień odpoczynku, jednak naród radziecki nie ma odpoczynku, on będzie pracował, i my musimy mu pomóc, że jutro rano przyjadą po nas samochody z niedalekiego kołchozu i zabiorą nas na pole, siał marchewkę. Nie sprzeciwiliśmy się. Następnego dnia, jeszcze nie zdażywszy zjeść naszego rannego posiłku, samochody już były. Kierowcy pospieszali nas słowami - "dawaj skoro na maszynę". Wsiadliśmy i jechaliśmy prawie godzinę przez pustkowia i pola. Pogoda była ładna, okolica również. Mieliśmy urozmaicenie. Zobaczyliśmy wieś, małe drewniane domki, murowany, nieużywany kościół, stawy bez wody i wreszcie szerokie, niby zaorane pole. Mieliśmy na tym polu siał marchew. Samochody zatrzymały się. Kazano nam

wysiąść, więc wysiedliśmy. Pole było zaorane w wielkie skiby pomiędzy którymi znajdowały się tak głębokie dołki, że można było się w nich schować. Ktoś z naszych powiedział - jak można siał marchew na takim polu? Trzeba je najpierw kultywatorować, zabronować, ale czym? Na razie nie widzieliśmy nikogo z kołchozu, więc czekaliśmy co będzie dalej.

Wnet pełną drogą, pełną wybojów, przyjechała z kołchozu parokonna furmanka. Zsiadł z niej stary, brodaty dziadek, pokazał nam dwa worki nasion marchwi oraz małe, niezgrabne motyczki. Pokazał, że motyczkami należało robić w ziemi dołki i wkładać w nie po parę nasionek marchwi. Miało to więc być sadzenie nie sianie. Ja, rozweselony, podszedłem do kołchoźnika, przywitałem go i zapytałem się, czy nie ma trochę machorki na skręta. Miał machorkę, ale nie miał "bumagi" (papieru) do skręcenia papierosa. Miałem kawałek gazety "Prawda", poczęstowaliśmy się więc nawzajem. On wyjął trochę tytoniu z kieszeni i wysypał mi go na dłoń. Starczyło mi go do wieczora. Przy "zakurce" zapytałem się go, jak będziemy sadzić marchew w taką brylastą, nie zabronowaną ziemię? Czy nie mają w kołchozie kultywatora, brony, żeby rozbić skiby. Dziadek zastanowił się i powiedział: "Niczewo, u nas, w kołchozie jest mnogo kultywatorów, są ruskie, polskie germańskie, rumuńskie, ale wsie nic nie stoją. Najlepszy jest staroj ruskoj kultiwator i ja jewo skolko priwiedu". Czekaliśmy co będzie. Dziadek zaś poszedł w pobliskie krzaki, a za chwilę przywłókł z nich sporą wiązkę gałęzi. Zrobił tak jeszcze dwa razy. Potem wyciągnął z wozu kawał drutu, związał nim gałęzie w dosyć płaską całość, zaprzęął do nich włochate koniki, położył na wiązce posiadany na wozie worek, wypchany ni to sianem ni słomą - i ruszył z tym "kultywatorem" w pole. Przeciągał gałęzie po polu, wśród tumanów kurzu, w kierunku poprzecznym do orki i - roztarł trochę skiby. My przystąpiliśmy z motyczkami do sadzenia marchwi. Wieczorem samochody odwiozły nas do obozu.

Za pracę w obozie, poza nim i na kołchozowych polach nie dostawaliśmy ani grosza. Mówiono nam, że ZSRR za naszą pracę wysyła do Polski zboże, bydło i inne towary. Z czego korzystają i nasze rodziny. Nie wiedzieliśmy, jak to naprawdę z tym jest. Słyszeliśmy, że wojna już się skończyła, a nas trzymają, jako więźniów. Pytaliśmy się konwojentów, dlaczego nas przywieźli do Sowieckiego Sojuza, za co nas to spotkało, dlaczego oderwali nas od rodzin? Pytani różnie odpowiadali. Ale mówili, że przyjdzie dzień odjazdu. Czekaliśmy na ten dzień z utęsknieniem.

Aresztowani i przywiezieni do obozu nie mieliśmy nic własnego poza odzieżą. Jednak każdy człowiek instynktownie pragnie zdobywać coś, dorabiać się czegoś, coś kupić czy sprzedać. Nielegalny, potajemny handel rozwijał się w każdym obozie koncentracyjnym. Mając pieniądze można było kupić u kucharzy kawałek chleba, papierosa, starą gazetę na skręcenie papierosa. Szukało się źródeł zdobycia kilku rubli. Ci, co pracowali w warsztatach czy na budowach, usiłovali zdobyć, zabrać, ukraść, jakiś

młotek, piłkę do metalu, stare naczynie czy kawałek zardzewiałej blachy. Z kawałka blachy można było zrobić coś potrzebnego, grzebień, nóż, łyżkę, garnuszek, kociołek, a kupcy na to byli. W tamtejszym prymitywie wszystko się przydawało.

Ja w lecie 1945 r. pracowałem na Bobriej Górze przy budowie baraków. Pracowaliśmy cały tydzień, a w niedzielę robiliśmy na kołchozowych polach przy żniwach, potem w jesieni, brano nas do kopania ziemniaków i wycinania kapusty. Przyjeżdżały po nas samochody z różnych kołchozów. Zabierały od razu po dwieście osób. Na wielki łan ziemniaczany dawał kołchoz dwie pary koni z radłami. Radła rozkopywały rządki i wyrwały ziemniaki z ziemi, my je zbieraliśmy i sypaliśmy na paki samochodów ciężarowych. Samochody odwoziły ziemniaki do stołówek czy innych miejsc, zsypując je od razu, bez przebierania, do ziemianek. Zbieranie ziemniaków przy ładnej pogodzie było przyjemne, tym bardziej że konwojenci pozwalali, żeby jeden człowiek z każdej brygady palił ognisko i piekł ziemniaki, dla nich i dla nas. Jak zawsze i tutaj był kłopot z wykonaniem normy. Ziemniaki były zadziwiająco ładne, a my, w pierwszym dniu pracy, staraliśmy się dokładnie je pozbiierać. Samochody nie zdążyły zawieźć ich do stołówek i trochę pozostało na dwóch przymach na noc. Pracowaliśmy tak uczciwie, a tu, wieczorem, przyszedł z kołchozu "normirowszczyk", żeby obliczyć naszą wydajność. Zmierzył wykopane pole, coś poobliczał i stwierdził, że "płochę nasze dzieło", że wykonaliśmy tylko sześćdziesiąt pięć procent tego, co powinniśmy byli wykonać. Zapisał to na papierku i oddał papierek konwojentowi do obozu, dla "normirowszczyka" obozowego, żebyśmy dostali odpowiednią normę pożywienia. Pracując cały dzień nie jedliśmy nic, poza paroma upieczonymi ziemniakami. Każdy schował sobie prawie po pół wiaderka ziemniaków do nogawek spodni, związanych na dole, z nadzieją na upieczenie ich w piecu w izbie barakowej, ale do upieczenia było daleko, a głód dokuczał. Tymczasem "na przechodno", to jest przy wejściu do łagru, zrobiono nam rewizję i odebrano zdobycz. W obozie dali nam nędzną kolację, a po niej zrobiono "prowierkę" (apel) i naczelnik obozu skrytykował naszą "płochą" pracę. Było nam bardzo przykro, bo naprawdę pracowaliśmy rzetelnie. Na drugi dzień posłano nas do tej samej roboty. Przyjechaliśmy na pole przed kołchoźnikami z końmi i radłami. Gdy oni przybyli, podeszliśmy do nich na pogawędkę. Powiedzieliśmy im, że wczoraj tak dokładnie zbieraliśmy wykopane ziemniaki, tak się staraliśmy, a "normirowszczyk" zaliczył nam tylko sześćdziesiąt pięć procent normy i dostaliśmy mało jedzenia. Znany nam już dziadek powiedział: "Ot, Polaki - duraki. Wy nie umiejcie zbierać kartoszki. Ja wam pokażę". Wziął wiaderko, podszedł do nierozradłonego rządka, rozgrzebał go nogami, wybrał kilka ziemniaków, a resztę przysypał ziemią i zaczął robić to samo dalej. Powiedział, że tak trzeba robić, żeby wykonać normę. Dodał, żeby jedni zbierali ziemniaki za radłem, a inni rozkopywali rządki

nogami. Byliśmy zdumieni. Mówiliśmy, że przy takiej robocie dużo ziemniaków zostanie w ziemi, że ich szkoda, bo jak przyjdzie mróz, to zmarzną, że przecież lepiej, żeby były zebrane i mieli je ludzie. Kołchoźnik odpowiedział, z filozoficznym spokojem - "niczewo". One i tak zgniją. Zgniją w ziemniakach i ludzie niewiele z nich skorzystają. Trzeba rozkopać jak najwięcej rządów, żeby wykonać normę. Robiliśmy według jego rady i w tym dniu samochody zwoziły wszystkie wykopane ziemniaki do miejsc przeznaczenia. "Normirowszczyk" zaś, gdy przyszedł wieczorem i obliczył rozkopane pole, był zadowolony z naszej "nie płochy" już pracy. Powiedział, że wykonaliśmy 125% normy. Dał odpowiednią "bumagę" do obozu i obiecał za dobrą pracę, że następnego dnia, w którym też mieliśmy kopać ziemniaki, przywiezie nam obiad z kołchozu. Pracowaliśmy znów dobrze, aby wykonać normę. Pod wieczór przyjechała furmanka z kołchozu z naszym obiadem. Szukaliśmy na niej oczami kotłów z zupą i kaszą, ale na darmo. Leżały na niej tylko jakieś pełne worki. Nasi konwojenci zrobili zbiórki. Podchodziliśmy do wozu i każdy z nas dostał jako obiad niedużą kromkę czarnego chleba, dwie surowe marchewki i jedną małą cebulę.

Wnet po wykopkach, jednego pogodnego dnia nie posłano nas do pracy i coś nienormalnego działo się w obozie. Enkawudyści biegali od biura do biura i poza bramę. Zastanawialiśmy się co to znaczy. Wreszcie około godz. 9⁰⁰ zrobiono zbiórki na placu obozowym. Naczelnik obozu stanął przed nami i najpierw wyczytywał nazwiska większości spośród nas, a potem powiedział, że wyczytani pojedą do domów, do Polski. Mnie serce zamarło, bo wśród wyczytanych nazwisk było nazwisko mojego brata Jana i innych i innych z którymi mnie tutaj przywieziono, ale nie było mojego nazwiska. Czyżbym miał tu jeszcze zostać, gdy inni, moi towarzysze, pojedą? Ogarnęła mnie rozpacz. Pobiegłem szybko do obozowego biura z zapytaniem, dlaczego ja nie jadę do Polski, do żony i dzieci, na których utrzymanie nie ma kto pracować? Polityczny poczęstował mnie papierosem i odpowiedział, że dla wysłania wszystkich Polaków do kraju na razie brakuje wagonów, że najpierw wysyła się chorych, że lada dzień przyjdą zamówione wagony, to wszyscy Polacy wyjadą, bo Rosjanom są już oni niepotrzebni. Dodał: "Na dniu ujeżdżasz w Polszu. Daję słowo czesne, kak ja oficer". Co miałem zrobić? Musiałem się pogodzić z tym co jest. Tymczasem wyczytani, a wśród nich i mój brat, odeszli już z konwojem na stację kolejową. Pozostał ze mną Jan Bator i trochę znajomych. Zrozumieliśmy, że spędzimy w tym obozie drugą zimę. Baliśmy się jej, ale postanowiliśmy dbać o siebie, starać się nie zachorować i doczekać do powrotu do kraju. Dalej pracowałem tak, jak mi kazano.

Jednego dnia, pewnie w październiku, zostałem wezwany do naczelnika obozu numer 23. Prowadził mnie tam konwojent kilkanaście kilometrów. Obóz ten leżał na północ od Stalinogorska, obok "Fenolzawodu", fabryki kwasu karbolowego. Jego naczelnik szukał "koleśnika", kołodzieja,

bo w tym obozie rozsypał się ostatni posiadany wóz. Ktoś podał temu naczelnikowi mnie, jako kołodzieja. Gdy przyszliśmy na miejsce, naczelnik kazał dać mi coś zjeść, poczęstował papierosem i zapytał się, czy potrafię zrobić koła i i naprawiać wóz. Odpowiedziałem, że w mojej wsi, w Polsce, chłopci sami robili koła, że mogę spróbować je zrobić, ale do tego potrzeba materiału i narzędzi. On odpowiedział, że materiał u nich jest, a o narzędzia on się postara. Zapisał sobie jakie mają być te narzędzia i kazał mi rano następnego dnia zabierać się do pracy. Zapytał jeszcze, ile ja tych kół zrobię za dzień. Popatrzyłem się na niego, czy on jest mądry i powiedziałem, że za dzień nie zrobię ani jednego koła, że najpierw przygotuję sobie materiał, a potem zrobię razem cztery koła. Zgodził się, a ja poszedłem spać na obce, obozowe nary.

Na drugi dzień mój konwojent odszedł, ja dostałem innego konwojenta, oraz zażądane pomocnika i narzędzia: piłę, nóż, młotek, i dębowe kłocce drzewa. Piła była tępą, ale nie było pilnika do jej naostrzenia. Była jednak ziemianka - stolarnia, gdzie dwóch niemieckich jeńców, stolarzy, robiło okna i drzwi do baraków. Korzystałem więc trochę z ich narzędzi. Powoli przygotowałem drewna na piasty, szprychy i obwód kół. Pod wieczór naczelnik przyszedł to pooglądać. W następnych dniach ciosałem toporem piasty i szprychy. Nie było tokarki, żeby je otoczyć. Dostałem dużo i dwa świdy. Wydlubałem otwory w piastach i wbiłem w nie ostrugane szprychy, tworząc "kozły". Gdy naczelnik je zobaczył, ucieszył się i kazał kucharzowi dać mi repetę kapuśniaku. Potem szły obwody kół. Te cztery koła robiłem dwa tygodnie. Zrobione trzeba było okuć. Nie było jednak obręczy. Naczelnik wyszukał kowala i z jakiegoś żelastwa zrobiliśmy obręcz, łącząc je nitami grubymi na palec. Naciągnęliśmy je na koła, okuliśmy piasty i założyliśmy koła na stare osie do wozu. Zaprzężono do niego dwa małe, gniade, obozowe koniki. Przy okazji zaglądnąłem do ich stajni. Zobaczyłem smutny widok. Stajnia nie miała żłobu ani drabiny, gdzie konie dostawałyby jedzenie. Pod ich przednimi nogami leżały łupiny z ziemniaków, siano i jęczmienna słoma. Zreperowany wóz zaraz pojechał do "Fenolzawoda" po węgiel na opał. Wnet ludzie, z kołchozu i innych obozów, dowiedzieli się o mojej sztuce kołodziejkiej i chcieli mnie sobie wypożyczyć. Naczelnik obozu nr 23 kazał mi robić szybko cztery następne koła. Przydzielił mi jednego Niemca do pomocy mówiąc: "Polaczki ujadut w Polszu, a Germańce ostanutsia. Budut rabotać".

Po zrobieniu czterech następnych kół skierowano mnie na "Posobnyj Chadziajstwo Fenolzawoda". Naczelnikiem był tam Białorusin, mówiący dobrze po polsku, porządny człowiek. Dał mi przepustkę i pozwolił chodzić swobodnie, bez konwojenta, od godziny 6 rano do 18 po południu. W zakładzie też był warsztat stolarski bez tokarki. Kazano mi wyremontować bryczkę, wóz i parę sani. Odkryłem dużą stertę starych bryczek, wozów i sań, połamanych kół. Kombinowałem, sztukowałem, łączyłem części z

różnych wehikułów w jedną całość. Ze znalezionej dosyć dużego kawałka starej blachy zrobiłem dwa garnki i sprzedałem je po trzydzieści rubli. Tu dostawałem trochę więcej jedzenia, ale była już zima i marzłem na polu. Staralem się zdobyć jakiś kawałek metalu, zrobić z niego sprzęt i sprzedać a za otrzymane pieniądze kupić u kucharzy kawałek chleba. Zdobyte ruble trzymałem w cholewie od buta.

W jakieś święto po Bożym Narodzeniu byłem słaby i strasznie głodny. Dostawszy ranną porcję, kupiłem sobie aż cztery porcje chleba. Dwie z kupionych jedną po drugiej zjadłem po śniadaniu razem z "kawą", wodą, zabarwioną skórka przypalonego chleba. Trzeci kawałek kupiony zjadłem po kolacji, czwarty chciałem sobie schować na rano. Ukryłem go w posiadanym tłumoczkuz, razem ze zdobytą łyżką cukru. Po rozmowach z kolegami, wieczór położyłem się spać, ale absolutnie nie mogłem zasnąć. Nie dawała mi zasnąć myśl o tym, że mam chleb i cukier. Ciągnęło mnie, żeby jeszcze to zjeść. Myślałem, że tyle już zjadłem tego dnia i wciąż byłem głodny, co to będzie, jak wrócę do domu. I nie zasnąłem, aż wstałem i zjadłem posiadany chleb z cukrem, jak gdybym był dzieckiem. Zapaliwszy papierosa, myśląc, że nie mam już chleba, zasnąłem.

Przez pierwsze, zimowe miesiące 1946 r. pracowałem dalej jako kołodziej, ale w zimie z 1945 na 1946 r. przemarzyły mi nogi i zachorowałem. Teraz wzięto mnie do "bolnicy". Było tam dosyć dużo osób, cierpiących na różne schorzenia. Nie tyle nas leczono, co pozwalano wyleżeć się pod jakimś przykryciem. W kwietniu zebrano nas, około tysiąc chorych Polaków, podwieziono do pociągu i ruszyliśmy w drogę. Wieziono nas na południe i zawieziono, o głodzie, aż do Odessy nad Morzem Czarnym, gdzie było ciepłej, rzekomo na dalsze leczenie. Jechaliśmy w wagonach towarowych, ale były w nich prycze do spania. W Odessie ulokowano nas w sanatorium "Arkadia Berik", ale zamiast leczyć, skierowano nas znowu do pracy. Pracowałem przez trzy tygodnie przy odgruzowywaniu odesskiego portu, po czym znowu poczułem się gorzej, nie mogłem chodzić, nie miałem siły poruszać się. W czerwcu wzięto mnie do szpitala i zaczęto coś leczyć. W szpitalu przebywałem do września. Powoli wracałem do sił.

We wrześniu zorganizowano transport do kraju grupy Polaków, liczący tysiąc pięćset Polaków. Ja, szczęśliwie, znalazłem się w nim. Jechaliśmy wagonami towarowymi, o głodzie i chłodzie, przez Kijów do Białej Podlaskiej. Przez Lwów było o wiele bliżej, ale punkt repatriacyjny był w Białej Podlaskiej. Dostałem tam kartę repatriacyjną i w krytycznym stanie, w dniu 20 października 1946 r. - wróciłem do domu. Miałem się jeszcze meldować co tydzień w najbliższym posterunku Milicji Obywatelskiej.

Wróciłem do rodziny, pomniejszonej o najmłodsze dziecko, małego synka. Był żal w sercu, ale trzeba było żyć dla tych, co szczęśliwie przeżyli. Zebrałem coś pieniędzy i zaniósłem do księdza z prośbą, żeby odprawił, w mojej intencji, Mszę Świętą dziękczynną. Dzisiaj, gdy wspominam depor-

tację tysięcy Polaków, „w czasie II wojny światowej, do ZSRR, myślę - za co nas to spotkało? Dlaczego? Jakim prawem? Gdy później, przez całe lata trzeba było wysłuchiwać propagandy komunistycznej o państwie socjalizmu, niby najbardziej rozwiniętym kraju świata i największym przyjacielem Polski, ja dobrze wiedziałem, jak naprawdę z tym jest.

Post scriptum:

Wróciwszy do domu Antoni Magda, rolnik z Trzęsówki, podleczył się i zajął pracą w gospodarstwie. Pięcioro jego dzieci i trzeba było posyłać je do szkół, dostosowywać do nowych warunków w ojczyźnie, w Polsce Ludowej, budującej socjalizm. Gospodarstwo, obciążone obowiązkowymi dostawami dla państwa, nie dawało potrzebnych dochodów. O pracę wówczas, w naszych stronach, było ciężko. Honorowego Antoniego denerwowały - obowiązek ciągłego meldowania się na MO i stosunek niektórych rodaków, którzy uwierzyli komunistom, że członkowie AK, a zwłaszcza ci, co zostali wywiezieni do ZSRR, byli - bandytami. Pojechał więc, dowiedziawszy się o takiej możliwości, do pracy w kopalni węgla na Śląsku. Pracował przez kilka lat, oddając zarobione pieniądze rodzinie. Gdy wrócił, znalazł sobie jeszcze zajęcie w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu. Dzieci skończyły szkoły, pozakładały rodziny. Władze francuskie podjęły wypłacanie znacznych rent Polakom, którzy pracowali w ich kraju przed II wojną światową. Antoni Magda dostał rentę za pracę w młodości koło Metz. Jako uczestnik wojny obronnej Polski we wrześniu 1939 r. został przyjęty do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Dostał odznaczenia za tę wojnę i za przynależność do AK. Spisywał swoje przeżycia. Udostępniał je historykom. Nie doczekał się upadku ustroju socjalistycznego. Zmarł w 1987 r. i spoczywa na cmentarzu w Trzęsówce.

Wspomnienie Antoniego Magdy z deportacji do ZSRR opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego

Halina Dudzińska

Rozdział III

Moja mała i wielka ojczyzna "POLSKA"

Halina Dudzińska

Rodzina Bytnarów

Zdzisława Józefa Rechul - Bytnar

Moja rodzinna ulica - kolbuszowskie
Nowe Miasto w początkach obecnego stulecia

Pierwsze lata Prywatnego Gimnazjum
w Kolbuszowej (1911-1916)
